

JÓZEF LASOŃ.

Pułk drugi.

(Ze wspomnień Legionisty).

2

A z całego batalionu znów ta dwunasta kompania, rzechy można, „okiem“ batalionu jest. Jakich tam żołnierzy nie było w tej kompanii?! I rozmaite narodowości i zawody pomieszały się z sobą! Pierwszy pluton to obywatele Ludwinowa i Podgórze, drugi, to szwajcarski, trzeci przemyski, czwarty wreszcie... lwowski. Przedstawiciele prawie ze całej Galicji i rozmaitego stanu. Obok inżynierów i profesorów służą jako szeregowcy rzemieślnicy, rolnicy i t. d. Ba, nawet i hrabia się znalazł, jako szeregowiec w plutonie szwajcarskim. To hrabia Biberstein de Trembiński, urzędnik Muzeum Narodowego w Rapperswilu. A żołnierze z nadwiślańskich okolic Podgórze z dumą jeden do drugiego mówią:

— Ty, patrzaj! Ten ci hrabia, a ja ceglarz, i koledzyśmy!... Hi! hi! hi! Ten by ci w cywilu gadać ze mną nie chciał, a teraz to se gadamy „ty“. Takie ci to polskie wojsko!

— Tak nas losy połączyły!

— W każdym razie, przecież to hrabia, i to podobno porządny hrabia, z dobrej rodziny — tłumaczy sobie wzajem.

— A nie wygląda całkiem na hrabiego!

— We wojsku go widzisz! Ale zobacz go w cywilu!

— Hm! Hm!

Rozmowy żołnierzy przerywa głos Mroczkowskiego, nawołujący furmanów do siadania. Widzi już maszerujący pod górę batalion, tren więc ruszy zaraz.

— Mar...r...r...ś! — komendruje Mroczkowski.

Rusza powoli tren po błotnistej drodze, wypożęte konie żwawiej ciągną. Droga górzysta się zaczyna, poczem ukazują się wąwozy górskie. Maszeruje się, jak gdyby w olbrzymim mieście, gdzie na prawo i lewo stoją olbrzymie gmachy, tak tutaj zaczyna się podróż, tylko miast gmachów i budynków stoją góry, pokryte drzewami. To przednóża Karpat. Gdzieniedzie malutka równinka zasiana kukurudzą, przy drodze znów rzędem słoneczniki okwitłe, ze zwieszoną tarczą ziarnistą ku drodze się pochylają.

Żołnierze zerwali kilka słoneczników i kukurudzę i racząc się niemi, krzywią trochę gębami.

— Jak niema co innego, dobre i to! — zachwalają.

Mijamy wioski, rozsiadłe gdzieniedzie przy drogach. Tu już nie znać takiej paniki, jak w okolicach Huszt. Ludność przeważnie żydowska, gdyż prawie przy każdym domu stoją przybrane w zielen „kuczki“. W odświętnych bekieszach przychodzili, patrząc się na maszerujące wojsko.

— Wuss ist! Wuss ist? — szwargoczą.

— Legionen! Polnische Soldaten!

— Aj... jaj... jaj...! — śmieją się.

Gdzieniedzie przy chatach ludność słowiańska widać. Kobiety, w krótkich po kolana koszulach, z gołemi łydkami, w kolorowych stanikach, wyszczerzają zęby i śmieją się do żołnierzy.

— Cóż to? — pyta jeden drugiego — one spodnie nie noszą, tylko w koszuli samej chodzą?

— Taki zwyczaj! Co kraj, to obyczaj!

— Wygląda, jak baletnica.

— Apetyczna... he?

— Niby... tak se!

— Zjadłbyś?

— No... tak... z biedy.

— To Węgry?

— Nie! Słowianie.

Słońce wyjrzało z za chmur, ciepłe promienie ogrzały przemokłą ziemię. Po dniach słotnych, pochmurnych, przyjemnie się zrobiło po polach i lasach.

To też weselej się zrobiło i pomiędzy żołnierzami, niejedna zachmurzona twarz rozjaśniła się, gęby poczęły pracować. Zapomniano o wszystkich troskach gniotących, a nawet i żołądek uspokoił się, nie burczał w niecierpliwości.

— Tu ci klawo będzie się dekowac — mówi jeden z Podgórze — jak byśmy się tu bili. Tyle ci tu krzaków, drzew, pagórków! Jakbym się tu wdekował, toby mnie cała kompania nie znalazła.

— Taki masz strach?

— Idzie... idzie... strach... Do tego mówię, jakby mnie otoczyli, to bym mógł się bronić!

— Walecznyś! Teraz!

— Cóż ty mnie chcesz nabrać?... Z Ludwinowa jestem!

— Ja z Grzegórzek.

— Cicho tam — zagrmiał głos Mroczkowskiego — gębę stulić... spokój!

Luba to była wiara. Jak kogo polubiła, to za nim w ogień szła, z weselem w piekło by poszła. Ot, wspomnę kompanijnego Dziekanowskiego. Ten, żeby się nie rozstać ze swoim plutonem, który wyćwiczył, zrzekł się godności kompanijnego, aby razem być. Ale od kompanii plutonu mu nie odjęto, pozostał kompanijnym z awansem na porucznika. Rzec można, na rękach go żołnierze nosili. Ojcem i duszą kompanii był. Ustawicznie pamiętał, aby żołnierz nie był głodny, aby wszystko miał. Ale też i rodzonemu bratu by nic nie przepuścił. Było co złe, dawaj winnego, zaraz tam coś mu wlepił, żeby on i inni na przyszłość wiedzieli, że żołnierz — to nie stara baba. Sprężysty musi być, energiczny, dobrze rzeczy wojskowe znać..., no... i... słuchać. Rozkaz u niego — to rzecz święta.

Mówiąc prawdę, dużo to i „szarańczy“ było, ale się jakoś ich wyplenilo. Trudno, rozmaici są ludzie.

A porucznik Sikorski, kompanijny X. kompanii. To urodzony żołnierz, wymowny dowódca, choć ostry, gniewny, niby nieprzystępny, ale z szacunkiem każdy żołnierz o nim mówił. Walega znów, chorąży dwunastej kompanii, bratanek biskupa tarnowskiego, choć mizerak z wyglądu, zawsze z żołnierzy niezadowolony, zawsze zdaje mu się, że źle robią, ryczy w plutonie, jak tygrys nad ofiarami, to, gdzie największe niebezpieczeństwo, gdzie najcięższa służba, sam się pcha. Śmiali się z niego nieraz oficerowie, mówiąc:

— Ty z nas pierwszy zginąć chcesz! Chcesz, żeby cię nikt nie uprzedził?

— Jak Bóg da!

— I jak kula trafi.

— Za ojczyznę nie żal zginąć!

— Ale trzeba się jak najlepiej i jak najdłużej przysłużyć, a strzeżonego Pan Bóg strzeże!

— Co komu przeznaczone! — pobrzękując szablą, odpowiadał.

Tak i w tym pierwszym marszu po ziemi węgierskiej z plutonem swoim do przedniej straży się wkręcił. Cieszy go to, że bezpieczeństwo batalionu od nich zależy, że w razie czego, pierwszy będzie się bić. A służba przedniej straży ciężka zaiste była. Wąwozami batalion się posuwa, straż przednia musi nieustannie wzgórze lesiste przeszukiwać, drogę torować. Nużby się nieprzyjacieli na szczycie wzgórza usadowił, karabin maszynowy w ruch puścił, ciężka toby była sprawa. Ale czujne oko mają żołnierze! choć przemęczone ciało dokucza bólem, po górach zwinnie się przekradają, łącznikom sygnał dając, że bezpieczna droga.

A chorąży Walega przodem, szablę trzyma nerwowo, jużby chciał bić, ręka mu drży.

Droga prowadzi przez olbrzymią górę, żołnierze pomagają ciągnąć wozy. Wreszcie pierwsze wozy dotarły do szczytu.

Mroczkowski pierwszy na koniu przez lornetę obserwuje ruchy batalionu, który już ze stromej góry zszedł, uroczą doliną maszeruje.

— Darmozjady stać! — krzyczy wesoło — Pod górę pchaliście, to teraz wstrzymywac na dół trzeba.

Patrzę z góry na dolinę. Droga wiję się jak wąż, miejscami spadzista, trudno tu będzie z trenem zjechać, ostrożnie trzeba i powoli, gdyż rozpedzony wóz nie skręciłby na zagięciu i, spadając po stokach, gotowy rozbić się.

Powoli zsuwają się wozy w dolinę, wstrzymywane przez żołnierzy, przejeżdżają żwawo przez dolinę, aby pod następną górę wziąć rozpęd. To już ostatnia większa góra, przez którą ma się przejechać. Z wysiłkiem ciągną konie, pomagają żołnierze. Nie widać już po wozach leniwie rozsiadłych maruderów, Mroczkowski ostro się do nich wziął, za nogi kazał ciągnąć, zrzucac.

— Wy, próżniaki — besztal ich — automobilami was wozić! He? Ja wam tu zaraz lekarstwo znajdę. Ciasne buty, boso idź, obtarta noga, popluć trochę, rozetrzeć, zaraz się zagoi.

— Mnie w piersiach kłuje — skarży się jeden — mam kartkę od lekarza.

— Zaczekaj, bracie, jak Moskali pobijemy, to ci nowe płuca wstawimy, a jak ci lekarz dał kartkę, to idź do sanitetów, niech cię noszą.

— Toli — odpowiada — najwięcej sanitetów jechało na wozach, jakże oni mnie będą nieść?

Idący obok, kucharz z dziesiątej kompanii, przystępuje do Mroczkowskiego z uśmiechniętą twarzą i patrząc chytrze na marudera, mówi:

— Komendancie! Ja tam wiozę płuca z zabitego byka, to na kwaterę, jak będzie potrzeba, wprawię mu.

Ale maruder odziera się z miejsca.

— Wam przydałoby się wstawić trochę mózgu do mózgowicy, bo pusta, tak, jak moja faszka.

— Chodź bracie, dam ci konia — uśmiechnięty kucharz mówi — na koniu pojedziesz!

— Ale... na prawdę? — pyta zaciekawiony.

— Tak! Chodź ze mną.

Niedowierzająco maruder spogląda, ale idzie za kucharzem. Ten odwiązuje krowę, która do wozu uwiązaną była i mówi:

— No! siadaj! pojedziesz!

— Dobrze! jadę — odpowiada maruder, wskazując żwawo na krowę, która, zadziwiona tym wypadkiem, ryczy i nie chce iść.

— Wio! wio! — kilku treniarzy przyskoczyło, poczęło okładać krowę, która ruszyła galopem.

— Trzymaj się ogona! Trzymaj się ogona! — krzyczą za nim.

Ale maruder oblał krowę za szyję, przytulił się jak do dziewczyny i tak jedzie. Po chwili stanęła krowa i nie chce dalej iść, tylko przeraźliwie ryczy.

— Tak ci tę narzeczoną obcałował, że ryczy z zadowolenia — śmieją się z niego.

Mroczkowski ukrywa śmiech na ustach, dalej ich wymyślać i besztac.

Kucharz ręce do kieszeni włożył i trzęsie się od śmiechu.

— Bacność! psiakrew! — krzyczy Mroczkowski — co wy, do cholery, robicie! Do raportu! Założyć wam każę szpangi. Wojna, psiakrew, jest, lada chwila w ogień możemy się dostać, a tu wam szopki w głowie. Żebyście tylko do ognia byli tacy skorzy...

— Będziemy, komendancie! Będziemy!

— Psiekrewie, cholery! — klnie dalej.

— Będziemy! Pójdziemy do ognia! — rozlegają się głosy.

— Bacność! Uważać na wozy. Karabiny nabite?

— Nabite.

— Spokój, cisza! — podciął konia i klusem pojechał na czoło trenu. Zapanowała cisza. Ale ledwie tylko komendant odsunął się od nich, już rozpuścili języki, jak kołowrotki. Koło kucharza, jak kurczęta koło kwoki chodzą, a ten im opowiada różne powiastki żołnierskie, z których śmieją się wesoło.

— Cholery — mówi do nich wkońcu poważnie — wam się zdaje, że na Kalwaryę idziecie, albo na jaką wycieczkę, a nie na wojnę.

— Cóż się będziemy smucić? Złe nam, czy co? — odpowiada jeden z grupki, otaczającej go. — Jak jest, tak jest, czasem źle, czasem lepiej. Przyjdzie się bić, to będziemy się bić, a teraz, póki czas, trzeba się rozerwać. Taka ci to już polska natura. Dziś umiera, a przed śmiercią potańcować jeszcze chce. He... he... he...

Przed nami w dolinie skryta ukazuje się duża wieś, jakby małe miasteczko. Kopuła kościołka sterczy w pośrodku, wyróżniając się od niskich chat. Wokoło góry otaczają miasteczko, gdzieniedzie na wyżynach bieleje śnieg, a na stokach gór stoi olbrzymi tartak, jakby brama forteczna twierdzy.

— Batalion... stój! — słychać głos komendy kapitana Fabrycego.

Opodal batalionu stanął i tren, czekając na dalsze rozkazy. Mieszkańcy powychodzili z chat i gapią się na nas. Nawiązuję rozmowę z jakimś w podsztywnym wieku mężczyzną i okazuje się, że to Polak, mieszkający tu z rodziną. Pracował w tartaku, ale teraz tartak zamknięty.

— Dużo tu rodzin polskich? — pytam jego mościa.

— O, było, panie, około dziewięćdziesiąt, ale teraz powyjeżdżało masę. Brak pracy, obawa przed Moskalami, tak, że pozostało może ze dwadzieścia polskich rodzin.

Zaprasza mnie uprzejmie na kwaterę, wskazując na chatę, gdzie mieszka. Dziękuję mu i obiecuję przyjść, jak tylko batalion się zakwateruje.

— Dobrze, panie, dobrze. A może ma pan coś ciepłego w domu? Z chęcią kupiłbym.

— Kawa będzie.

— Proszę, proszę. Byle żołądek rozgrzać.

Pobiegl szybko do chaty i przyniósł potężny garnuszek kawy ze śmietanką. Ledwie nektarem tym rozkoszować się zacząłem, gdy nagle dojrzało mnie chytre oko Mroczkowskiego. Podciął konia i przypadł do mnie.

— Imieniem Rządu N. K. N. — z rozmachem mówi — konfiskuję ten dobrze robiący napój, a kwit natychmiast wystawię.

Podał mi garnuszek, upominając:

— Tylko nie wszystko!

— Nie, nie! — odparł, wychylając duszkiem gorącą kawę i oddając próżny garnuszek.

— Niby nie wszystko, a nic nie zostało — zwracam mu uwagę.

— Jakto? A garnuszek pies? Przecież garnuszek pozostał. — Podciął konia i śmiejąc się odjechał.

— Komendancie, kwit — żartuję z niego.